№ 32. Warszawa, dnia (30 Lipca) 12 Sierpnia 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu kop. 10.	półrocznie . . „ 2.50
	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9; w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane" wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagraniczą. Zmiana adresu kop. 15.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

†

Śmierć króla włoskiego.

Telegrafują z Medyolanu pod datą 30 Lipca:

„Przebywający w letniej rezydencyi swojej Monza (w pobliżu Medyolanu) król Humbert został zaproszony przez miejscowe towarzystwo gimnastyczne dla przyjęcia udziału w rozdaniu nagród. W chwili, gdy po odbytych ćwiczeniach gimnastycznych monarcha siadał do karety, aby się udać do domu, został raniony trzema kulami, z których jedna przeszyła serce. Do rezydencyi przywieziono martwe tylko zwłoki — śmierć nastąpiła o godzinie 11$^1/_2$ w nocy. Królowej Małgorzaty nie było na miejscu katastrofy.

Oto treść godnego pożałowania zamachu, któremu uległ drugi z rzędu monarcha Zjednoczonych Włoch.

Jak się pokazuje, nie pamięta już naród imion nierozerwalnie złączonych z wielkim aktem wskrzeszenia jego niepodległości—nie wie człowiek dzisiejszy tego kraju, albo wiedzieć nie chce, że dźwignią tego ruchu była dynastya Piemontska, że bez Karola Alberta, bez Wiktora Emanuela i niezapomnianej sławy wielkich mężów stanu i wojowników, którzy wraz z nimi w nieśmiertelnem dziele zjednoczenia włoskiego przyjmowali udział, byłby ten naród miał dotąd obce panowanie w Lombardyi, dotąd niegodne tego imienia rządy w Królestwie Obojga Sycylii, Toskanii, Modenie i Parmie—byłby teraz, jak niegdyś, podzielony na nomenklatury państwowe bez powagi, znaczenia i przyszłości, a Rzym, dzisiejsza jego stolica, byłby metropolią w wyobraźni poetów jedynie.

Oto jak lekceważyć może człowiek spuściznę, na którą nie zapracował — oto jak się obchodzic umie jedno pokolenie z dorobkiem wywalczonym poświęceniami i krwią pokoleń poprzednich.

Niezwykle piękną kartę ma panująca we Włoszech dynastya w historyi swojego kraju, tylko że to nie są, jak widać, względy, któreby do umysłów współczesnych przemawiały. Dzięki wytworzeniu się nowego zupełnie typu czynników destrukcyi, popadają w niepamięć fakta dziejowe niespożytej doniosłości, zacierają pojęcia zasługi, prawa, słuszności, a samozwańczy, rozszalały duch jednostki sądzi, dekretuje i niszczy.

Ofiarą takiego sądu padł właśnie syn i wnuk wielkich przodków, rzeczywistych ojców ojczyzny włoskiej, sam niegdyś, w epoce wczesnej bardzo młodości swojej, żołnierz sprawy zjednoczenia, a do ostatniej chwili wierny stróż przekazanej mu przez rodzica spuścizny.

Ogólnie jest znanem, że od lat kilku padł posępny smutek jakiś na duszę tego człowieka, że stracił on na sile woli, na energii i inicyatywie. Niepodobna się temu dziwić. Wieki gorszącej gospodarki na większej części obszaru dzisiejszego zjednoczonego królestwa wydały gorzkie, opłakane owoce. Nie mógł niewidzieć tego sternik państwowej nawy, co widział i czem się skandalizował cały świat cywilizowany. Ogarniające wszystkie warstwy społeczne, nie wyjmując najwyższej, brigantagia, camory i maffie z jednej strony wytrawiały ciągle pojęcia prawa i rycerskości—podczas gdy tajne dekrety władz wykonywane przez organizacye zbirów z drugiej, wytwarzały wszędzie z wyjątkiem Sardynii stale krwiożerczą dzikość i stanęły jako nieprzebyta zapora dla rozwoju ducha obywatelskiego i odwagi cywilnej w tym narodzie. Edukacya, jednem słowem, skrytobójcza wyhodowała w tym kraju człowieka, przoduje on też w ponurej klasyfikacyi zbrodniczości ludów europejskich, i niepodobna dziś chyba niedojść do przekonania, że to, co wypracowały wieki w ustroju tego organizmu, tylko wieki przy usiłowaniach umiejętnych odrobićby mogły.

W takim trudzie opadają ręce tym, którzy są w stanie rzucić okiem w daleką przyszłość. A przytem nie należy i o tem zapominać, że król Humbert padł ofiarą trzeciego z rzędu zamachu na swoje życie. Tak wielkie krzywdy bez śladów na duszy człowieka pozostać nie mogą, choćby ten człowiek umiał przebaczać i zapominać.

Ostatecznie faktem jest dla świata żyjącego i dla historyi, że syn króla-agitatora wieloletniego, syn organizatora zwycięztw, współpracownika Mazzini'ego i Garibaldego, syn wreszcie żołnierza z pod Palestro, pada ofiarą jakiejś ręki, którą możnaby nazwać mściwą, gdyby wyraz mściwość dał się tutaj w jakikolwiek sposób usprawiedliwić.

Oburzenie ogólne, żal powszechny, konieczność wzięcia w opiekę winowajcy wobec jednomyślnego przeciw niemu wybuchu nienawiści ludu — są to wszystko czcze i bez treści frazesy, którymi zwykło dziennikarstwo wykłamywać przed opinją świata, fakt przynoszący ujmę całemu narodowi.

Tacy jak Gaetano Bresci na innym niż Włochy gruncie polityczno-społecznym mogliby może zadziwiać i poniekąd liczyć się do wyjątków—tutaj są oni plonem widomego posiewu, owocem nieuniknionym długiej kultury, udoskonalonym ostatecznie w danym kierunku przez te wpływy, które wniosła atmosfera ostatniej epoki.

T. M.

JULIUSZ ZEYER.

Na pograniczu obcych światów.

przełożył MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

— Pójdź ze mną!—huczało wichurą i szeptało łagodnymi podmuchy. Zanurzała się w czerwonych płomieniach, niby w falach, a te niosły ją ku mnie bliżej, bliżej...

Ale nagle mignął wśród dymów drugi cień, blady, biały, z rozwianym włosem — była to Flora. Do wpółnagich piersi, potarganą suknią do połowy ledwie zakrytych, przyciskała dziecię otulone niby zawojem ciemnemi jej włosami; oczy miała niezmiernie wielkie, z przerażenia szeroko rozwarte, a w ciemnej ich nocy tysiącznemi skrami zwierciedlił się pożar. Jak szczwana psami łania, pędziła po schodach na górę, z głową w tył odrzuconą, z otwartemi ustami, z bladem śmiertelnie licem, a głos jej wielki wołał potężnie śród nocy i pożaru: „Łazarzu! Łazarzu! Łazarzu!“ Rozpacznie spoglądała w płomienie, a ujrzawszy mnie na drugim końcu korytarza, żywego i bez szkody, krzyknęła z radości i po chwili klęczała już koło mnie. Jedną ręką przyciskała do siebie dziecko, które ze zdumieniem patrzało w połyskliwe płomienie i słodko bez najmniejszej obawy uśmiechało się do grożącej nam śmierci, drugą chwyciła się mnie.

— Bogu dzięki!—wołała. — Ty żyjesz! Nie chcieli mnie puścić do ciebie, już podobno zapóźno! Wyrwałam im się. Pójdź prędko! Chciała mnie pociągnąć za sobą.

Ale ja stałem jak przykuty do miejsca. Cień Chiomary, który zbladł przy ukazaniu się Flory, wyrazistszych znowu nabierał zarysów. Była piękna jak nigdy przedtem, wzrok jej nęcił nieodparcie, ruch ręki dziwny miał majestat - była potężna jak bóstwo, ciągnęło mnie do niej niezwalczenie—nie posłuchać, oprzeć się, zdało mi się niepodobieństwem.

— Czego chcesz odemnie?—spytałem Florę, podnosząc rękę i wskazując na widmo.—Patrz tam w płomienie, czyliż nie widzisz, jaki czarowny duch tam ulata, jak mnie woła do siebie? Jego ręka wskazuje mi drogę, którą iść mam! Jego jestem, wpadłem w moc jego. Chcę umrzeć, nie pójdę ztąd—ty idź i ratuj się, ratuj swe dziecię!

Flora zatrzęsła się, niepokój śmiertelny wybił się na jej twarzy. Porwała się z klęczek.

— Kto ci dał prawo wybierać śmierć? Bóg ci to zakazuje: do mnie należysz i do dziecka naszego!

— Do ciebie, kobieto dumna, nieczuła? Jakiemż to prawem? Czyliż niewolnikiem twym jestem?—wołałem, i uwolniłem się z jej objęcia. Odepchnąłem ją od siebie i zapłonąłem uniesieniem namiętnem, przypomniawszy sobie całe swe nieszczęście w tem okamgnieniu.—Tyś sama wpędziła mnie w zagubę, ty sama dałaś mnie w ręce mocom nieznanym, twoje wzgardliwe usta są powodem mego samobójstwa, krew moja padnie na ciebie, twoje serce niezdolne kochać zawiniło wszystko...

— Łazarzu!—zawołała namiętnie. — Co mówisz? Czyż podobna, abyś takiem na mnie patrzał okiem? Oh, Łazarzu, ja cię kocham! Tu, w chwili, gdy śmierć w każdem okamgnieniu porwać mię może, przysięgam ci na życie swego dziecięcia, że cię kocham, żem cię kochała od pierwszego spojrzenia, że serce moje należało zawsze tylko do ciebie, do ciebie, do ciebie jedynego!

Zachwiałem się, byłbym krzyknął z radości, ale nie mogłem uwierzyć.

— Kłamiesz, kłamiesz!—szeptałem, ale ona nie zwracała na to uwagi, i mowa jej stawała się coraz gorętszą, coraz namiętniejszą z każdem słowem, jakie wymawiała.

— Już w dziecinnych latach, gdyś ty bawił gdzieś w dali, było imię twoje słodką dla uszu mych pieszczotą, kochałam cię, zanim wiedziałam, co jest miłość! Już wówczas posłyszałam raz, jak ojcowie nasi o przyszłym związku naszym mówili, i stałeś mi się odtąd złotą baśnią, istotą anielską, która miała mnie zbawić i wywieść z domu ojcowskiego, gdzie brak miłości z taką znosiłam boleścią. Ale tyś nie przychodził. Smuciłam się — i wówczas to zaczęłam myśleć o klasztorze. Gdy przyszedłeś nareszcie, pokochałam cię całą duszą, i jeżeli kłamałam kiedy, to wówczas tylko. gdym się miłości swej zapierała w ogrodzie, wówczas, pamiętasz, gdyś o rękę mą prosił. Płakałam, widząc, że w miłość nie wierzysz, rozpaczałam, ale przytem szalałam z radości, że moim jednak będziesz.

— A ta twoja tajemnica, z którą przedemną się ukrywałaś, z którą mimowoli nawpół się zdradziłaś, to nie była zatem miłość dla innego? — spytałem, odurzony jej wyznaniem, i jak gdyby budząc się ze snu.

— Tą tajemnicą była miłość moja ku tobie!—zawołała, i z oczu jej prąd jasnych polał się łez.—Chciałam stłumić tę miłość, gdy duma moja buntowała się wskutek twojej obojętności, nie chciałam, abyś wiedział, jak bardzo cię kocham—bałam się twego szyderstwa! Gdyś mi wówczas pychę i chłód wyrzucał, czułam, że serce mi pęka, chciałam do nóg ci się rzucić, jak teraz, i wyznać ci wszystko! Ale cyniczny twój śmiech był piekłem wyganiającem mnie z raju. Nie mogłam mówić, milczałam — i przez to dopuściłam się zbrodni! Jestem winna—prawdę rzekłeś, jestem winna i Bóg mnie karze! Znosić jest jedyną cnotą kobiety, kochać—jedyną powinnością! Prawa miłość nie pyta o nagrodę, o uznanie! Kobieta nie ma innej cnoty, innego dostojeństwa, innej świętości nad miłość! O Łazarzu, zmiłuj się nademną, daj mi naprawić co złego uczyniłam, pójdź, ratuj się!..

— Floro, Floro!—zawołałem. — Kocham cię bardziej, niż duszę własną. Biada mi! Już zapóźno! Nie mogę już odwrócić oczu od owego widma, czarnoksiężka moc jego obróciła w głaz moje nogi, nie mogę iść za tobą! Idź sama, idź i ratuj dziecię!

(Dokończenie nastąpi).

Z obcego świata.

Tak się obniżyło w szacunku powszechnym dziennikarstwo całego świata, że sprawozdania z jego zebrań i kongresów oddawna nie mogą budzić już tego, co niegdyś interesu. I teraz na międzynarodowy wiec prasy zasiadający w Paryżu patrzy apatycznie ogół cały; przyjmuje wprawdzie do wiadomości jego desiderata i uchwały, ale wiedząc co o nich trzymać, wita reformy wszelkie uśmiechem niedowierzania, a towarzyszące im wielkie słowa prostem ruszeniem ramion. Siódmy z kolei kongres paryzki trwał od 31 Lipca do 2 Sierpnia. Posiedzeń w ciągu tych dni trzech było ogółem sześć — potem nastąpiły zwykłe wycieczki, uczty i festyny. Prezesem kongresu wybrano redaktora wiedeńskiego „Neu-Wien-Tageblatt'u“ p. Singera, wiceprezesami: francuza Hebrarda i hiszpana Bevaza. W komitecie zasiadają przedstawiciele wszystkich krajów, a już pod jakim tam pretekstem dopuszczono się wyłączenia nas z tego grona, mało nas to obchodzić powinno. Dziwi tylko to jedno, że w takich warunkach chciało się ludziom z Warszawy przyjąć udział w kongresie, ale skoro trzej kierownicy pism tutejszych uznali to dla siebie za odpowiednie, mieć przeciwko temu oczywiście nic nie można, byle tylko każdy z nich, jeśli tam głos zabierze, zabrał go od siebie i za siebie, bo to znowu my uważamy za konieczne i niezbędne.

Treść obrad naturalnie chudziutka jest bardzo, bo i jakżeby inaczej być mogło. Jakieś tam obniżenie ceny telegraficznych depesz, jakieś karty identyczności, któremi się naprzyszłość legitymować będzie musiał dziennikarz i coś jeszcze prócz tego — wogóle nic godnego uwagi dla ludzi czytających; natomiast festynów, pikników i widowisk regestr aptekarski prawdziwie. Bal w ratuszu, przyjęcie w prezydenturze, także u ministra handlu, zwiedzanie Paryża podziemnego, wycieczki aż nad brzegi Loary, galowe przedstawienie w komedyi francuzkiej, w operze również — o operetce natomiast ani wzmianki, a szkoda, bo jeśli kogo witać operetką, to juściż...

Nie od rzeczy byłoby, aby przy licznym na paryzki kongres prasy napływie dziennikarstwa amerykańskiego poruszono tam i temat krotochwilny, objęty kwestyonaryuszem zaoceanowego dziennika „Stampleton Gazette,“ o którym i nasze dzienniki z tej okazyi wspominają także. Szło tej gazecie o to, w jaki sposób rozrywać czytelników podczas miesięcy letnich. Rzecz ważna jest w istocie, zwłaszcza jeśli przypuścimy raz, że człowiek inne ma potrzeby duchowe w lecie, a inne w porze zimowej. Nadesłano masę więcej lub mniej trafnych pomysłów, z których wszakże najbardziej wydał nam się aktualnym projekt senatora Mc Morgan z Waszyngtonu — zaraz znać, że myśl wyszła ze sfer poważnych. Otóż mąż ten doradza, aby przez lato dzienniki rozmaitych stronnictw pozamieniały ze sobą role, tak aby każdy przez te trzy miesiące najgorliwiej bronił tego, na co przez resztę

oku napadał i vice versa. Będzie to, jak mówi autor wniosku, bardzo zabawne i pouczające zarazem. W istocie może być, że taka ewolucya sezonowa przekonań zabawniejszą byłaby od tej, jakiej dostarcza często bardzo dziennikarstwo wiernym swoim, gdy mu do tego jako motor służy interes, bo z tego rodzaju maskaradą przekonań czytelnicy wogóle dosyć są oswojeni.

Jakiś ktoś podpisany pseudonimem „Prawdomówny“ w tych wyrazach odzywa się: „Wedle zasługi ceniona redakcyo! Przestańcie wydawać pismo podczas lata, a będzie to stanowiło dla czytelników waszych rozrywkę najpożądańszą.“

Rada okazała się bardzo dobra, tem lepsza zapewne, że już dotąd rzecz w tym duchu od dosyć dawna rozstrzygnąć się musiała w umysłach wielkiej ilości czytelników tego pisma; idzie tylko o to, aby się ta powściągliwość nie chciała przenieść z miesięcy letnich i na zimowe także, a nie trzeba być wielkim pessymistą, aby twierdzić, że na tego rodzaju zwrot zanosi się coraz bardziej i to nietylko względem tej jednej amerykańskiej gazetki.

Skoro powiedzieliśmy słów kilka o jednym kwestyonaryuszu czysto humorystycznym, zrobimy pobieżną wzmiankę o innym, który ma być, wedle sprawozdawców angielskich, cennym materyałem do psychologii dziecka, a wedle naszego mniemania mieści także w sobie żywiołu humorystycznego ilość sporą. Angielskie pismo „National Review“ pomieszcza artykuł p. Cathariny Dodd p. t. „Ideały uczących się.“ Mowa tam jest o rozesłaniu kwestyonaryusza do 600 zgórą dzieci obojej płci na północy i południu Anglii zamieszkałych (pokazuje się, że Szkocya i Irlandya zostały pominięte)—dzieci uczęszczających do szkół. Postanowione zapytania dadzą się tak wyrazić: Czy wolisz być mężczyzną czy kobietą i z jakich powodów? Który z mężczyzn, albo która z kobiet, o których słyszałe(a)ś wydaje ci się tak godnym(ą) naśladowania, żebyś rad(a) zająć jego miejsce w życiu?

Wiek dzieci obesłanych tym kwestyonaryuszem wahał się między 11 a 13 rokiem życia. Obaczymy jak nam się wydadzą odpowiedzi ze względu na zastosowaną do wieku dojrzałość umysłową.

Najpierw 30 tylko dziewcząt na ogólną liczbę 300 zapytanych, wyraziło żal z powodu, że przyszły na świat kobietami. Na 300 zaś chłopców dwóch gotowych się okazało zrezygnować z przewagi, jaką im zapewnia na świecie męzkość. Odpowiedzi niektórych małych kobietek są nawskróś feministyczne. Jedna naprzykład powiada: „Wolę być kobietą niż mężczyzną, bo kobiety wogóle mają więcej zdrowego rozsądku.“ Inna wyraża się równie stanowczo odnośnie do wyższości kobiet w tych słowach: „Wolę być kobietą, bo kobiety wogóle są odważniejsze i robią rzecz prędzej, a nadewszystko nie upijają się, jak to często miewa miejsce u mężczyzn.“ Najwyraźniej jestto mimowolne zdradzenie pewnych domowych tajemnic, z racyi których wypadło biednemu dziecku zrobić porównanie między ojcem i matką. Niemniej zdecydowanem jest orzeczenie trzeciej pensyonareczki, która mówi: „Cieszę się, że jestem kobietą — kobieta pracuje wtedy, gdy mężczyzna gawędzi sobie swobodnie.“

Poprzestaniemy na tych trzech próbkach rezolutnych a charakterystycznych, aby przejść do opinij wyrażonych przez męzką młodzież tego grona. Jeden z tych naprzykład twierdzi:

„Nie chciałbym być kobietą, bo kobiecie wogóle trudno jest bardzo zarabiać pieniądze. Nie może ona być ani komisantem handlowym, ani żołnierzem, ani podróżnikiem po krainach odległych, a to są jedyne trzy powołania, które uważam za przyjemne.“

Jakiś mały bojownik w sprawie solidarności męzkiej, nie wolny przytem od przedwczesnej ironii, w tych słowach wypowiada swoje przekonanie:

„Co do mnie chciałbym być kobietą, bo kobieta wyszedłszy za mąż zabiera sobie pieniądze zapracowane przez męża i wydaje je w sposób, jaki uważa za najprzyjemniejszy. Do roboty ma w domu służącą, i wolno jej robić mężowi sceny, gdy ten trochę później powraca do domu.“

Zdaje się, że i temu malcowi nie wskutek zasłyszanych opowiadań przyszły do głowy te refleksye—to są wszystko mali zdrajcy drobnych nieporozumień rodzinnych, które im prawdopodobnie bez rodzicielskiej kontroli udało się wysłać pod adresem pisma, a to zapewne nieprzewidując wyciągnęło ich na te zwierzenia niedyskretne.

Co do osobistości historycznych, które najbardziej rozpłomieniały wyobraźnie młodzieńcze, to największa liczba oświadczyła się za losami Bullera, Wellingtona i Szekspira, znalazł się wszakże jeden zwolennik łączenia rzeczy podniosłych z użytecznemi, który życzenia swoje sformułował w ten sposób:

„W czasie pokoju chciałbym być królem, ale w czasie wojny wolałbym być komiwojażerem.“

Innemu szczytem pożądań wydawały się losy cesarza niemieckiego, jako wodza najlepszej armii na świecie.

Nakoniec pewien filozof godzący się z koniecznością, a przytem ufny w swoją gwiazdę, taką daje odpowiedź autorce kwestyonaryusza:

„Chcę pozostać sobą naprzód dlatego, że inaczej być nie może, a przytem wiem, że dorósłszy dokonam i tak wielkich rzeczy.“

Ten ma wyraźnie w swoim tornistrze buławę marszałkowską, byle tylko nie miał notatnika komiwojażera, bo z tym wątpić należy, aby dokonać mógł rzeczy wielkich.

Młode dziewczęta co do wyboru tych postaci, w których ducha radeby się były wcielić same, zdały lichy dosyć egzamin i z pojęcia o ideale wogólności, i ze zrozumienia tego, co na epitet wielkości w męzkim i kobiecym świecie zasługuje. Większa ich część stawia jako postać predylekcyjną królowę W. Brytanii Wiktoryę, raz dlatego, że jest ta monarchini, ich zdaniem, osobą bardzo dobrą... a przytem, że ma dużo bardzo pieniędzy (!).

Realne są widać aspiracye kobiety angielskiej, jeżeli już w dzieciństwie ma pragnienia tak ściśle określone w kierunku utylitarnym. W każdym razie za dużo kultu dla potęgi u tej generacyi najmłodszej, i zbyt wiele tego komiwojażerstwa. Na wzloty niema tam miejsca i to w jakimkolwiek rodzaju, choćby umiarkowanym.

Bez niewłaściwych zupełnie uprzedzeń, wydaje nam się, że zapytane nasze polskie dziecko dałoby w każdym razie odpowiedź szlachetniejszą, a nadewszystko bardziej stylową. Tamto jest bądź co bądź gminne nadzwyczajnie. Niema czego zazdrościć—to fakt.

K.

NA HALI.

z cyklu „Tatry.“

Stoisz bosa z biczem w ręku pasterko moja mała!

Chuścina stara, spłowiała od wichrów i deszczów okrywa ci głowę, opasuje cię w pasie i spływa ku ziemi. Chustka niewielka, a przecie za duża na drobne twoje ciało. Za to spódniczkę masz krótką, poszarpaną. Z pod spódniczki widać chude czerwone nożyny.

Stoisz tak codzień na hali od świtania do zachodu. Hodują cię wichry górskie, rosy białe i mgły, a w południe palą słonka gorące promienie. Dokoła, hen wysoko sterczą nagie turnie, niżej spuszcza się czarny las smerekowy i potok z szumem po kamieniach leci. Na zielonej polanie pasą się krowy i pobrzękują dzwonkami, a ty stoisz i patrzysz, i słuchasz. Cisza... tylko potok gwarzy i dzwonki brzęczą.

Nie lubisz bawić się z innemi dziećmi, rozkładać ognisk, opowiadać bajek.

Nieraz wołają na ciebie: Kasiu, pójdź do nas! — ale ty udajesz, że nie słyszysz, bo wolisz być sama, bo czasem jak zagadasz do nich, to się z ciebie naśmieją, przezywają potem: *głupia* i potrącają gdy się trafi sposobność.

Wolisz być sama, dumać, a wspominać sobie. Masz już wspomnień dużo! Pamiętasz jak to było za życia matusi, rodzonej matusi twojej? Jak to ona pieściła cię, a huśtała, a całowała twoje białe liczko. Oj dogadzała ci ona, dogadzała. Nie zaznałaś co zimno a głód. Z jarmarku zawsze przyniosła ci kukiełkę pszenną, cukierek słodki, obwarzanek. I tato cię pieścił. Nie bił jak teraz. Gdzież tam! nie tknął ni razu.

A potem... matusia zmarła. Bledziutka była, zimniusieńka i nie gadała do ciebie ani słówka. Tato zbił z desek trumnę, i włożyli w nią matusię i zakopali w ziemi, a ty byłaś głupia jeszcze, toś i nie płakała nawet, choć ludzie użalali się nad tobą. Bałaś się tylko, ale nie wiedziałaś czego?

Zostałaś się sierotą, sama w chacie.

Oj niedługo sama. Tato przywiódł ci drugą mamę, ano nie taką jak tamta. A i tato już nie ten, co był.

Twarda twoja dola, Kasiu!

Macocha za byle co zdzieli cię kułakiem, wydrze za włosy, tato paskiem skraje ci plecy, aż się zwiniesz w kłębek, jak ta psina, co i skomleć nie śmie... siadujesz po kątach, schodzisz im z oczu, nie dojesz — a przecie zawsze zawadzasz, zawsze zadużo miejsca im zabierasz. Teraz z wiosny kazali ci pognać krowy na halę i teraz ci lepiej. Choć dziew-

ka która sturgnie, choć ofuknie, ale przecież macocha nie stoi już nad tobą i ojciec nie bije. Oj dobrze ci teraz między juhasami na tej polanie zielonej. Mleka halnego ci dadzą, placka kawałek, to i biedujesz. W potoku się wykąpiesz, słońce cię ogrzeje, a ojciec albo matka raz na dwa tygodnie zajrzą do krów, i jakoś łaskawsi na ciebie, nie krzyczą, nie biją. Dobrze ci tu sieroto.

Z wiosny, jakoś w parę dni po przypędzeniu bydła na halę wziął się wicher zimny od gór. Patrzysz ty, patrzysz, a tu od turni, hej od samego wirchu leci coś wielkiego, jak zwierz kudłaty, a szumi, warczy. Polękały się dzieci, patrzą do góry, owce się zbiły w gromadę, a tu naraz jak sypnie śniegiem, lunie deszczem, powieje wichurą przestraszną...

Przez dwa dni leżał śnieg na polanie; krowy ryczały z głodu w zagrodzie, owce z pod śniegu wyskubywały trawę... Oj napłakałaś ty się wtedy z zimna, z bólu. Od biegania po śniegu popękała ci skóra i bose nożyny broczyły krwią. Ale to przeszło. Słonko przygrzało, stopiło śniegi, polana zazieleniła się znowu, wyjrzały kwiatki liliowe, białe, błękitne, woń się dokoła roznosi, żywiczna woń boru, i dziwne wonie przeróżnego kwiecia. Tu ci jest dobrze. Dzień cały chodzisz za krowami, wieczorem przy watrze płonącej znajdzie się miejsce i dla ciebie. Czasem baca opowiada bajki, a ty słuchasz, słuchasz, słuchasz, aż cię zdejmie sen. Śpisz w szałasie, a w nocy śnią ci się sny śliczne: że matka twoja nie umarła, żyje, że cię prowadzi do kościoła wystrojoną w gorset, w korale — w kościele cudnie gra muzyka, ludzie śpiewają... ty słuchasz i jesteś strasznie, strasznie szczęśliwa, aż od tego szczęścia robi ci się tak jakoś słabo i mdło, jakbyś sama umrzeć miała... budzisz się, już świt... ale granie cudne ustało i matki niema, niema!

Po takim śnie przez cały dzień ci smutno i na płacz się zbiera.

Walkowa mówi, że matki i po śmierci do swoich dzieci przychodzą... Czemu twoja nie przyszła do ciebie ani razu? Czemu? Nie dba o ciebie. Poszła hano gdzieś i nie wraca.

Raz ci się zdawało... rankiem mgły białe chodziły po górach... patrzysz... postać biała idzie polaną prosto na ciebie, ręce wyciąga... czekasz, myślisz: matusia przyszli. Ano nie matusia, bo to coś białego rozwiało się w powietrzu, rozpłynęło, że i śladu nie pozostało po niem. A tobie tak tęskno, tak strasznie tęskno za matką rodzoną. To i myślisz: przyjdzie—może przyjdzie jeszcze.

Lubisz te mgły; są jako anioły, o których ci się śni czasami. Lubisz, gdy osnują skały i smereki, bo wtedy tak dziwno jakoś dokoła: ot, tu niby król siedzi w koronie na głowie, a tam sowa zła nastroszyła pióra, tu anioł płynie skrzydlaty, a tam dziecko, malutkie dziecko w kołysce sobie śpi, tu znow koń bieży i człowiek na nim... hej, dziwnośćiż to dziwności! Czasem przemawiasz do tych osobliwych postaci, a wtedy dzieci śmieją się z ciebie i przezywają cię różnie.

Lubisz także gdy wicher w trawach zaszumi i idzie po nich takie granie, jak na organach. Wtedy ci się i w dzień biały śni, żeś z matusią w kościele, i słyszysz muzykę taką—hej!

Ale potoku nie lubisz. On coś gada takiego, co cię boli i smuci. Jego wody jasne tak uciekają w dal... a żadna fala nie wraca nigdy, jako i matusia twoja nie wróciła do ciebie. Gwarzy potok gwarzy, a nie żal mu tych brzegów zielonych, które opuszcza, nie żal mu kwiatów, smereków, polany... z łoskotem leci gdzieś, ani spyta o tych, co zostają.

Pasterko moja mała, na tej polanie opaliło ci się liczko, a do głowy nawiał wicher dziwnych dumek roje. Ogorzała jesteś niby cyganka, szare oczki błyszczą jak dwie skiereczki. Gdy stoisz tak zadumana, rozmarzona, tracisz pamięć, gdzie jesteś, czem jesteś— choć cię wołają, nie słyszysz.

Gdyby nie inne dzieci, z pewnością poginęłyby ci krowy, pasterko cicha... A przecież powiedziećbyś nie umiała, o czem myślisz, gdzie bujają marzenia twoje—czy z mgłami białemi wieszają się po przełęczach, czy z wichrem lecą na turnie skaliste, czy ku słonku wzbijają się złotemu.

Najlepiej lubisz słonko. Zadzierasz główkę do góry i patrzysz, przez chwilę, przez chwilkę w jego wielką promienną twarz. Mrużą ci się oczy, ślepniesz, nie widzisz nic, tylko tę wielką jasność czujesz dokoła. Z dziwną, niezrozumiałą rozkoszą kąpiesz się w świetle, ty, dziecię mroków. A potem, gdy spuścisz oczy, to ci tak ciemno, ciemno dokoła, tylko w tę i w tamtą stronę przelatują złote płatki.

Oj, dobrze ci na tej polanie, jeno strach pomyśleć o powrocie do domu. W chacie mroczno, dymno, wicher nie gra po trawach, nie dzwonią dzwonki, i słonka, słoneczka złotego tam nie ujrzy!

Gdy pomyślisz, że ku jesieni wrócić będzie trzeba pod twardą rękę macochy, to ci mrowie chodzi po skórze, otwierasz szeroko oczy, i jak błędna patrzysz w ziemię. Tybyś tu została, ale znowu strach samej i cóżbyś tu robiła? w zimie śnieg, zimno, któżby ci jeść dał, sieroto? Zmarłabyś. A tam? Ona cię ubije i tam zmarniejesz...

Ej, co ci tam bać się, co tam dumać! Patrz jak słoneczko złote promienie bije na turnie skaliste, jak one się błyszczą, jak grzeją w słońcu. Pali słonko, pali, idź dziewczę do lasu, schowaj się w cień, w chłód. Ej, nie, ty nie ujdziesz ze słonka; dobrze ci tu, jak tej muszce skrzydlatej. A ono świeci dziś tak jasno, jak chyba nigdy jeszcze. Ale z boku z za tej turni czarnej jakiś zwierz wychodzi. To chmura. Patrzysz Kasiu i smutno ci. Chmura zakryje złote słonko, i długo może będzie ciemno, posępnie na świecie. A może słonko czarną tę zwycięży, może pokona; ono takie mocne, takie jasne! Coraz prędzej, coraz prędzej przysuwa się groźna chmura. W powietrzu grom się rozlega głuchy, daleki, turnie wszystkie powtarzają go echem—co to jest Kasiu, czemu drżysz, czemu ci tak dziwno jakoś? Zdaje ci się, że za tą chmurą jest coś strasznego i coś nowego, czego nigdy nie widziałaś jeszcze. Chmura zasnuła wirchy i idzie na słońce. Słonko broni się, o broni, jak może, samą chmurę czarną ozłociło z brzegów, ale ona idzie wciąż naprzód, a tak w niej coś warczy, tak huczy. Już zakryła sobą słonko... a w tej chwili mignął jasny błysk. To słonko, mówisz sobie Kasiu, słonko wysłało swój jasny promień, i przebiło szare zwoje chmur. Teraz znowu huk głuchy powtarzany echem. To za ten jasny błysk rozgniewała się chmura i ryczy groźnie. Raz po raz, to słońce błyska, to chmura odpowiada gromem. Przybiegają dzieci i szarpią cię za spódnicę: choć Kasiu do szałasu, chodź. Ty nie chcesz, nie słyszysz nawet, co mówią. Z tobą coś dziwnego dzieje się dziewczyno! Jakby cię co przykuło do miejsca. Ty taka drobna, taka mała, a tu rozpętane żywioły szaleją, uciekaj dziécko!

Nie, nie—tobie się zdaje, że tu coś dziwnego zajść musi, że w tym błysku pokaże ci się matka twoja, że ty nagle coś zrozumiesz, że się przed tobą wszystko, wszystko odsłoni, i tak ci dziwno, tak strasznie dziwno... Wicher gna chmury, smereki rwie, błyskawice migają... co ty robisz Kasiu!..

Wyciągnęłaś drobne ramiona i idziesz pod tę burzę, i idziesz ku tym błyskom... Kto ci kazał, kto ci tak kazał dziecino? Wiatr ucichł na chwilę, chmury warczą głucho... Od łona chmur odrywa się złota strzała i wężem leci ku tobie... światłość, światłość straszna, oślepiająca... jesteś Kasiu w samem łonie światłości... potem grom, jak stu dział huk, ale ty go już nie słyszysz...

Pasterko moja mała, wziął cię błysk piorunowy—duszyczka twoja, gwiazdka promienna połączyła się z morzem światłości.

I czemu ty gwiazdko jasna spłynęłaś między turnie, na polanę leśną, by cierpieć chwilę, marzyć chwilę.. by śnić i zniknąć bez śladu?..

Burza przeszła, mgły spływają na polanę, ciebie niema, pasterko moja mała.

Helena Ceysinger.

O czem piszą?

Tegoroczny sezon, zwany martwym, nie usprawiedliwia wcale charakterystycznego epitetu, jakim go raz na zawsze opatrzono. Wbrew przeciwnie zupełnie—zaznaczy on się w pamięci ludzkiej na długie czasy. Zdawało się zapewne organizatorom paryzkiej wystawy, że skoncentrują na siebie uwagę i frekwencyę całego świata, tymczasem wystawa kulejąca zrazu, opatrzyła się rychlej niż przypuszczał ktokolwiek, i nie w siłach już dzisiaj prasy obudzić interes dla tego przedsięwzięcia, tak dalece zepchniętem ono zostało z widowni przez wypadki szybko następujące po sobie. Kto dzisiaj mówi albo pisze o wystawie? Ten i ów mając parę tygodni czasu przeznaczone na wypoczynek, zawadzi i o Paryż między innemi, ale wielkim ani wyłącznym magnesem dla mas ludzkich ruchomych nie jest wystawa i nie będzie już z wszelką pewnością.

Pierwszym i stanowczym ciosem obniżającym doniosłość tego przedsięwzięcia były wypadki w Chinach — wypadki nieprzewidziane zgoła, zastanawiające swoją tajemniczością i grozą zarówno. Zrazu brak wszelkich wiadomości, potem pogłoski alarmujące w najwyższym stopniu—wślad za tem zaprzeczenia i sprostowania zaprzeczeń wytworzyły chaos, którego rozwikłanie, dzięki brakowi danych po-

zytywnych, w myślach ruchliwego ogółu dzisiejszego odraczać już poczęto do chwili, w której otwarte komunikacye pozwolą nareszcie na upowszechnienie czegoś więcej oprócz fabrykowanych przez agencye polityczne plotek i pogłosek:

„Wszyscy posłowie, misyonarze, wszystkie kobiety i dzieci europejskiego pochodzenia wymordowane“—to wersya pierwsza.

„Poseł niemiecki zamordowany, ale inne poselstwa trzymają się jeszcze oblegane przez Chińczyków.“

„Cesarzowa wdowa i cesarz chiński nie żyją zgładzeni przez księcia Thuana stojącego na czele ruchu powstańczego.”

„Cesarz i cesarzowa żyją, ale skrycie sprzyjają ruchowi“

„Fałszem jest jakoby inne konsulaty nie były dotąd wymordowane — nikt nie został przy życiu.“

„Konsulaty bronią się mężnie, ale im brak żywności i amunicyi.“

„Chińczycy kłamią tendencyjnie dla zyskania na czasie—nikt nie żyje z przedstawicieli mocarstw europejskich.“

W ten sposób informowana przez dzienniki publiczność europejska z gorączkowego rozciekawienia popadać już zaczynała w zniechęcenie i nudę, wypadki chińskie traciły na grozie i kolorycie, i dopiero mowa cesarza niemieckiego żegnającego korpus ekspedycyjny wojsk niemieckich wyprawiany z Bremerhafen na wschód daleki, dla przyjęcia udziału w akcyi zjednoczonych mocarstw europejskich, wstrząsnęła potężnie umysłami i obudziła drzemiące zaciekawienie. Tydzień cały interpretowało ją, komentowało i przerabiało dziennikarstwo całego świata a niemieckie przedewszystkiem. Ponieważ idzie niemcom o pewien ustęp tej mowy, przytaczamy to miejsce charakterystyczne w brzmieniu dosłownem, tak jako je przepolszczyli ludzie znający niewątpliwie język niemiecki, jego ducha i odcienia. Otóż kończąc długie dosyć przemówienie swoje, tak się wyraził cesarz niemiecki:

„Gdy staniecie wobec nieprzyjaciela, pamiętajcie o tem, że pardonu się nie daje—do niewoli się nie bierze. Kto w wasze ręce popadnie, ten do was należy. Jak przed tysiącem lat Hunnowie pod królem Atyllą zyskali imię, które teraz jeszcze w podaniach i baśniach w całej grozie się utrzymuje, tak niechaj imię Niemca na tysiąc lat w Chinach podobnie zapisanem zostanie, aby już nigdy nie odważył się Chińczyk krzywo spojrzeć na Niemca. Utorujcie drogę kulturze raz na zawsze. Do widzenia towarzysze!“

Otóż Niemcom ten ustęp wydaje się niedosyć godnym, czy tylko nadmiernie szczerym, a ponieważ Europa przyjęła tę pogróżkę wielce charakterystycznem zdumieniem, więc karne zkądinąd dziennikarstwo niemieckie znalazło się w prawdziwym ambarasie co zrobić z tym dokumentem — w każdym razie historycznej wartości. Jedne pisma starają się wykręcić tekst i wmawiają, że to jakoby nie o Niemcach mówi tronowa pożegnalna mówka co do owego pardonu i niebrania do niewoli, ale że to owszem obyczaj chiński miał tutaj cesarz na myśli. Nie ma sensu zupełnie wykręcanie tego rodzaju, bo coby w takim razie znaczyć miało upamiętnienie w Chinach imienia niemieckiego tak trwałe, jak imienia Hunnów w Europie. Inne pisma konsekwentniejsze, a obyczajne zarazem wpadły w melancholię i pytają coby się w takim wypadku stało z wielką przeszłością Niemiec, ich nauką, cywilizacyą etc., etc.

S.

Najnowsze sanatoryum dla suchotników

W NIEMCZECH.

W dniu 30 Kwietnia otwartym został za staraniem Hesskiego narodowego związku kobiet zakład dla chorych tuberkulicznych w *Oberkaufungen* w księstwie Hessen-Kassel. Środków materyalnych w ilości 350,000 marek dostarczyła pani Henschel żona radcy handlowego—reszty potrzebnych funduszów dopełniła ofiarność publiczna.

Sanatoryum leży w okolicy wzniesionej na 260 metrów ponad poziom morza o 15 minut drogi od stacyi kolei żelaznej Oberkaufungen. Zbudowanem zostało na nabytej ośmiohektarowej przestrzeni leśnego parku, a w prawo i w lewo ciągną się wielkie obszary leśnictw skarbowych. W różnych kierunkach prowadzą ztąd drogi staranne, a każda ma dalekie widnokręgi i kończy się wspaniałym krajobrazem. Od wiatrów północnych i wschodnich najzupełniej zabezpiecza zakład leczniczy ściana gęstwy leśnej i konfiguracya gruntu—jednem słowem co do warunków naturalnych jest zakład wzorowo uposażonym. Najtrudniejszem zadaniem było zaprowidowanie w wodę tak wysoko położonej miejscowości, ale i tej potrzebie zaradził wodociąg trzy kilometry długości liczący, który zaopatruje sanatoryum w wyborną wodę źródlaną.

Sama budowa wraz z galeryami przylegającemi ma frontu 130 metrów i zawiera na wszystkich razem trzech piętrach 50 pokojów, z których niektóre mają jedno ludno lub dwa łóżka, w pozostałych zaś przeznaczono od 4 do 8 łóżek dla chorych. W osobnym pawilonie przylegającym do korpusu głównego znajdują się kuchnie i wspaniała sala jadalna. W pobliżu zakładu wystawiono bardzo ładny domek dla lekarza zakładowego. Z tyłu wzniesiono składy i zabudowania gospodarskie.

Sam pawilon główny jest prosto ale nader gustownie i wygodnie urządzony, a wszystkie bez wyjątku pokoje przeznaczone dla chorych są widne i słoneczne; niezapomniano też o wielkich widnych korytarzach, które na wypadek zupełnej niepogody służą chorym za miejsce przechadzki i całodziennego nawet pobytu. Okna zaopatrzone są w odpowiednie rozsuwane okiennice, które dniem i nocą doprowadzają do wnętrza budowli świeże powietrze z zewnątrz. Nie wyklucza to bynajmniej wzorowego systemu wentylacyi, którą odznacza się zakład w Oberkaufungen. Wszystkich bez wyjątku pokojów mieszkalnych, sal i korytarzy posadzki pokrywa linoleum. Ogrzewanie zakładu jest centralne, oświetlenie elektryczne. Zarządza instytucyą osobny lekarz specyalista, który ma sobie dodaną odpowiednią ilość mężkich sanatoryuszów i sióstr ze stowarzyszenia Czerwonego Krzyża.

Tego rodzaju urządzenie zakładu pochłonęło sumę 479,259 marek.

Wedle życzenia założycielki urządzone to sanatoryum na 100 chorych, może w potrzebie pomieścić dodatkowo jeszcze 20 osób, a mianowicie z pośród ludności ubogiej zupełnie, albo rozporządzającej bardzo skromnymi funduszami. Nadto do zakładu przyjmowani być mogą tacy tylko chorzy, których cierpienie przedstawia jeszcze widoki wyleczenia. Sposobem próby postanowiono otworzyć tutaj przystęp i kobietom także, a to w stosunku: na 76 chorych mężkich, kobiet 24. Oddziały te nie łączą się ze sobą wcale.

Jak zapewniają świadomi rzeczy, prowincya Hessen-Nassau przoduje w Niemczech na polu walki z cierpieniami tuberkulicznemi, albowiem na jej niewielkim obszarze zakład powstały obecnie jest już trzecim z rzędu. Pierwszem było sanatoryum w Ruppertsheim na 120 łóżek, a drugie zostające pod zawiadywaniem uniwersytetu w Marburgu założono dla 60 chorych.

Zaraz przy otwarciu otrzymało sanatoryum w Oberkaufungen dar 30,000 marek jako fundusz żelazny na utrzymanie jednego chorego z klasy ubogiej. Stowarzyszenie zapowiada wszelkie ze swojej strony na przyszłość usiłowania, aby przyjść w pomoc cierpiącym, którzy nie podpadają pod żadną z kategoryj objętych opieką ustawodawstwa społecznego.

Poruszyliśmy już raz z tej samej okoliczności zapatrywania niemców na konieczność przychodzenia w pomoc ludności ubogiej, ich suche i wyrachowane motywy, którymi starają się oni usprawiedliwić tę swoją szczególnego rodzaju troskliwość. Nie ratują oni w człowieku chorym ojca rodziny, nie zabezpieczają bytu rodzinom, nie zapobiegają sieroctwu i opuszczeniu, ale salwują jednostkę ekonomiczną — inaczej mówiąc jakąś szpulkę tkacką, jakąś tokarnię czy warsztat jakikolwiek, któreby mogły zostać nieobsłużone i drżą na myśl samą obniżenia tym sposobem swojej wytwórczości. Jestto bardzo słuszne, bardzo rozumne może, ale szczególnie drażniąco oddziaływa na nasz polski ustrój i na naszą moralność wewnętrzną, a nadewszystko na pierwszeństwo, jakie przyznawać zwykliśmy jednym pobudkom przed drugiemi. I w tej odezwie swojej, którą oznajmiają światu o powstaniu zakładu w Oberkaufungen wysuwają znowu naprzód ten swój kramarski racyonalizm, którym motywują konieczność ocalania jednostek produkcyjnych — odezwa mówi na końcu temi słomy:

„Nietylko *uczucie ludzkości* zniewala nas do tych usiłowań, sprężyną jest nam *interes ogólny*, albowiem każdy tuberkuliczny to ognisko zarazy. Ci wszyscy muszą być leczeni — o nich starać się musimy koniecznie, aby znowu stali się zdolnymi do zarabiania (erwerbsfähig).

Bóg z wami ludzie ładu, porządku i praktycznego zmysłu! juześmy raz, mówiąc o duchu działalności waszej, przyznali wam część słuszności, ale nie żądajcie nigdy, abyśmy przyznali, że cała słuszność jest po waszej stronie, i że niema szlachetniejszego źródła, jak to, z którego płynie wasza praca społeczna.

Nie przekonywajcie nadewszystko, że kalkulacya lepszą jest jako motyw, a przeto więcej warta niż uczucie ludzkości, i że choćby na drodze użyteczności, dalej nas zaprowadzi pierwsza niż ostatnie. Przecież istnieje w człowieku pierwiastek jakiś, który wiecznie buntować się będzie gdy mu doszczętnie zaprzeczyć zechcemy. Być leczonym dlatego tylko, aby się nie stać ogniskiem zarazy—doznać opieki podobnych sobie dlatego, że się jeszcze przedstawia szanse przyniesienia na satysfakcyę pewną cyfrę siły mięśniowej, jestto w każdym razie być zważonym, wymierzonym i otaksowanym, ale tylko jako zwierzę robocze.

Z chwilą kiedy tracę resztę owej decydującej o mojej wartości „*Erwerbsfähigheit*“ zająć się mną może społeczność, ale jedynie tylko jako zagrażającem ogółowi ogniskiem zarazy. Jestto może zupełnie racyonalne, może być mądre nawet, ale że niedosyć ludzkie i chrześcijańskie jako założenie—to fakt.

T. M.

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

Przed wieczorem stawił się gwoli odebrania reszty instrukcyi i oznaczenia terminu stanowczego wyjazdu. Tak dalece był pewnym systematyczności radcy i jego przewidywania, o ile ono dotyczyło objęcia przez niego nowej posady, że ani przez chwilę nie zatroszczył się o to sam kiedy, jak, a nadewszystko za co wyjedzie. Czuł, że wzamian za jakąś usługę, którą mimowiednie oddaje, usuną z przed niego drobne kłopoty, a jeśli co niepokoiło go do pewnego stopnia, to owa nieokreślona i zagadkowa tajemniczość, dotykalna w całej sprawie. Jaki stosunek łączył jego, niegdyś jeszcze w latach szkolnych, opiekuna z tamtym lekarzem, którego miejsce miał objąć teraz, było rzeczą zupełnie drugorzędną, bo ostatecznie musiał ten dług ze strony radcy wyniknąć z pobudek przynoszących zaszczyt tamtemu, ale kim jest tamten człowiek — dlaczego rzuca praktykę nieprzymuszony do tej rezygnacyi wiekiem ani chorobą, dlaczego wybór jego następcy ma być rzeczą tak ważną ze względu na stosunek do poprzednika?

Czemu nadewszystko tyle jest rzeczy niedopowiedzianych, tyle kropek, iksów i domyślników, których w dodatku niewiadomo czy on się ma starać domyślać, lub nie. Rzecz w takim razie rozchodziłaby się o to, że on właściwie nie wie zupełnie, w jaki sposób może być tamtemu najużyteczniejszym, a przy tej ilości niewiadomych, gdzie pewność, że mimo chęci najlepszych nie pójdzie wbrew temu, czego się po nim spodziewają.

Częściowe zaledwie rozwikłanie tych wątpliwości oczekiwało go w dzisiejszej rozmowie, która, jak mu to odrazu powiedziano, miała być ostatnią. Czas naglił, bo przypuszczalne były jakieś starania postronne, jakaś kandydatura nieprzewidywana zjawić się mogła, ni ztąd ni zowąd, jak twierdził radca — wiadomo przecież, że czasy są nadzwyczaj trudne—mówił—a rąk sto wyciąga się po jeden kawałek chleba.

— Telegram o twoim wyjeździe otrzymał on wczoraj wieczorem, w którym zarazem zapowiadam mu list z wiadomościami szczegółowemi o tobie — kończył stary radca. — Ten list wyprawiony przez okazyę odbierze adresant najpóźniej jutro rano. Idzie o to, abyś był przyjęty tak, jakbym ja pragnął. O mieszkanie się nie troszcz, Młodziński ma swój dom własny, którego połowę wraz z umeblowaniem odda na twój użytek. O warunki ułożycie się między sobą. Tylko prosiłbym cię, nie przebieraj miary w skrupułach i nie posuwaj delikatności do przesady, bo go to będzie drażniło i krępowało, a jego ustrój cały obecny nie kwalifikuje go do wytrzymywania sporów w jakimbądź rodzaju—chybaby sporów naukowych, bo te nic mu szkodzić nie mogą—owszem. Ile ci czasu starczy, bądź tak dobry i staraj się dawać strawę jego umysłowi, bo go to odrywa od życia, a jemu życie zaciężyło niesłychanie. To ci wszakże powiem, że ze specyalnością twoją bądź dosyć ostrożny w tych ewentualnych rozmowach waszych. Nie idź naprzód, nieekscytuj jego pobudliwości, nie nasuwaj mu nic drażliwego, ale jeśliś obserwatorem, jeśli czytać umiesz w duszach ludzkich bez niedyskrecyi—czytaj, patrz i słuchaj, a co zobaczysz komunikuj mnie niezwłocznie. Dodam ci tylko, że w niczem nie przyjdę ci z pomocą, chyba gdyby szło o zaprzeczenie—potwierdzić twoich domysłów choćby też najtrafniejszych nie wolno mi, bom się do tego słowem uczciwości zobowiązał raz na zawsze. To już dla mnie kwestya honoru. Rozumiem że ci daję zadanie trudne do spełnienia, ale inaczej być nie może. Prosić cię o przychylność dla tego człowieka, czy o współczucie—nie potrzebuję zupełnie, gdyż tu szłoby właściwie o to, abyś ty odgadł to, czego odgadnąć nie jesteś w stanie, a do czego ci ani twoja teoretyczna wiedza, ani twoje zasoby praktyki klucza dać nie mogą.

— Cóż mnie tedy pozostaje?

— Zobaczysz; rób co do ciebie należy, a poza tem patrz i staraj się być człowiekiem w każdym przypadku, nie zapominając o mnie a po miesiącu — po dwóch najdalej pisz, chyba gdyby zaszło coś nieprzewidywanego, a i o to przecież w życiu nie trudno. Teraz jeden jeszcze szczegółik, z którym radbym skończyć jak najrychlej, wiedząc o tobie, że jesteś dziwakiem w tym stopniu jak byłeś w uniwersytecie. Pamiętasz zapewne. Co wtedy jednakże było świetną zapowiedzią w tobie, jako objaw godności osobistej bardzo chwalebnej — to dzisiaj nie miałoby sensu, mówiąc poprostu. Jesteś człowiekiem skończonym, a w dodatku od tej chwili masz byt materyalny zapewniony zupełnie i na tak długo, jak ci się spodoba. Zwrócisz mi z łatwością wszelką, a ważną dla ciebie bardzo rzeczą, abyś tam odrazu pod wszelkim względem miał rękę wolną.

To mówiąc, wsuwał mu w kieszeć kopertę, której dr. Werner nie miał śmiałości odsunąć od siebie, jak to już po wielekroć razy uczynił w stosunkach z tym poczciwcem.

Uścisnęli sobie ręce serdecznie, a na odchodnem usłyszał dr. Werner jeszcze kilka słów, które mu się na razie wydały pełnemi znaczenia.

— Słuchajże mnie, tuby właściwie mówiąc, trzeba człowieka z sercem apostoła, a dowcipem genialnego inkwirenta—tenby może odczytał ten hieroglif—ty nie sil się nawet, bo z gorliwości mógłbyś jeszcze uciąć jakiego bąka. Pamiętaj o tem.

Doktór chciał jeszcze zadać jedno pytanie, ale już cofnął się jego enigmatyczny protektor do swego pokoju, dając do zrozumienia tym sposobem najdobitniej, że poza tę granicę w objaśnieniach swoich nie pójdzie.

Umysły młode, choćby najbardziej zrównoważone były, odebranych wrażeń nie zatrzymują długo. Dla wierności naszego opowiadania zaznaczyć winniśmy, że i dr. Werner pod tym względem podlegał prawu powszechnemu.

Nic przykrzejszego jak oględziny, którem wytrzymać musi koniecznie człowiek osiedlający się w małem miasteczku. Ciekawość powszechna pobudzoną bywa tutaj stosownie do stanowiska społecznego, jakie zajmuje osobnik przybyły, i urastą oczywiście w miarę jego ważności. Wchodzą tu jeszcze czynniki dodatkowe zwiększające lub obniżające zapalczywość instynktu wywiadowczego, jakim się odznacza publiczność prowincyi, a najpoważniejszym między nimi jest kwalifikacya lub brak tejże do zmiany stanu cywilnego.

D-rowi Wernerowi nie brakło żadnego z warunków mogących wprowadzić w ruch umysły inteligencyi Czarnobrzegu, i dlatego od chwili, gdy z rozporządzenia d-ra Młodzińskiego zaczęto przygotowywać, oczyszczać i meblować mieszkanie nowego lekarza, zagotowało się literalnie między apteką, probostwem, urzędem gminnym i sądem miejscowym, a jeśli tylko w tych sferach, któreśmy wymienili, to z racyi jedynie, że więcej instytucyj gród ten nie posiadał. Poza ludnością mogącą liczyć na bliższe lub dalsze z lekarzem stosunki, cały ogół mieszkańców był temu przyjazdowi rad niesłychanie, nie mówiąc o aptekarzu, który znudzony kilkoletniem stopniowo obniżającem się ożywieniem w swoim procederze, rozmyślał o przeniesieniu się gdziekolwiek, byle nie pozostać w miejscowości, w której księga aptekarska na Nowy Rok na 1,342 numerze bieżącym recepty się kończy. Tak przynajmniej opowiadał on wszystkim.

Radzi byli tedy nowemu przybyszowi ludzie — rad był najbardziej dr. Młodziński, i dlatego przyjęcie ze strony tego, który witał w nowym koledze człowieka mającego mu zdjąć z ramion ciężar nad siły, było z wszelką pewnością serdecznem i ujmującem.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Dla pamięci.

Kto nie zapomniał jeszcze dotkliwego kłopotu jakiego w latach ubiegłych doświadczyli wszyscy mieszkańcy Warszawy dzięki szacherce węglowej, ten nie będzie się zapewne ociągał z wczesnem zrobieniem zapasu na nadchodzącą zimę. Przedsiębiorstwa i fabryczne zakłady muszą koniecznie pomyśleć o pracownikach swoich i zabezpieczyć ich jakimkolwiek sposobem przeciw wyzyskowi, mamy zatem na myśli takich tylko pozostawionych własnemu przemysłowi, którym zapóźno będzie zacząć starania o zapasy w Październiku i Listopadzie. A słychać już, że niektóre fabryki zagrożone są na zimę brakiem opału, ponieważ kopalnie nie chcą zawierać kontraktów na dostawę. Czuwa też spekulacya i już w Sierpniu zapowiada znaczną zwyżkę opału.

Z miasta.

Nareszcie wejdą w wykonanie bulwary nad Wisłą, których wielekrotne odraczanie pozwalało na szemu miastu rozszerzać się w jednym wyłącznie kierunku. Bezpośredniem następstwem takiego stanu rzeczy było nadzwyczajne podrożenie placów w dzielnicy Mokotowskiej, które odbiło się naturalnie na cenie mieszkań — wyższej już dzisiaj w Warszawie, niż w jakiejkolwiek ze stolic europejskich. Obecnie gorączka budowlana w kierunku Koszyków i wyścigowego placu ustać musi koniecznie, albowiem miasto zyskuje przestrzenie nadrzeczne, które przy odpowiedniem zadrzewieniu i innych udogodnieniach. wytworzyć mogą z czasem dzielnicę najświetniejszą. Ten przywilej mają wszędzie wybrzeża rzeki. Dla Warszawy wszakże będzie tu do przezwyciężenia jeden nader ważny szkopuł, mianowicie komunikacya. Spadek ku Wiśle jest tak znaczny, że nielada zadanie będzie mieć inżynierya, aby ruch śródmieścia uprzystępnić ku rzece dla powozów. Już odpowiedniemi robotami zajęto się na ulicy Karowej, jakkolwiek ta tylko dla ruchu pieszego jest przeznaczoną. Poziom jej obniżają w tym stopniu, że do gmachu panoramy prowadzić będzie wejście o 22 stop niach.

Wskazówki i rady.

Elegancko podane cynaderki.

Cynadry, pomimo że są potrawą bardzo zwyczajną, można zrobić elegancko. Cielęce lub baranie cynadry obgotować lekko, to jest niedługo, kładąc w zimną wodę i trzymając aż się nie zacznie gotować. Wyjętą z wody pokrajać w cieniutkie plasterki, włożyć w rondel łyżkę masła na trzy pary cynaderek, gdy się zagotuje mocno, ale jeszcze nie rumieni, wrzucić cynadry, przykryć i dusić na wolnym ogniu, włożywszy parę cebulek drobno usiekanych i odparzonych; gdy się zrumienią podlać bulionem rozgotowanym, lub rosołem, wsypać pieprzu białego, a gdyby sos nie był zawiesisty, zaprawić go pół łyżką mąki, rozrabiając ją w maśle. Oddzielnie zrobić rant z francuzkiego lub kruchego ciasta, na półmisek blaszany; gdy się ciasto upiecze włożyć w środek gotowe cynadry i podać na drugą potrawę zamiast pasztecików.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Sz. Prenumeratorce. Suknie princesse mało się u nas rozpowszechniają, jakkolwiek moda wprowadza je w użycie — może dlatego, iż są korzystne tylko dla bardzo ukształconych figur. Obecnie bolero ma największe powodzenie.

Pani Marya T. W numerze 2 „Tygodnika Mód" podaliśmy wymiar poduszki, ubrania dla lalki, i krój na arkuszu Nr. XVIII, podług niego łatwo powiększyć. W numerze 8 podaliśmy wzór koszulki — krój każda matka dopasuje z prostego bryta. Raczy Sz. Pani przejrzeć dawne dodatki, a znajdzie napewno, bo w ciągu każdego roku podajemy wzory.

Pani I. Błaże... nauczycielka. Nie podała nam Pani swojego adresu, przesyłając marki na odpowiedź.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Іюля 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.